

## **Tomasz Rowiński: Małżeństwo – lekarstwo na pożądliwość**

Sens „*Humanae vitae*” nie sprowadza się jedynie do prostego i, jak wielu się zdaje, irracjonalnego zakazu antykoncepcji, ale wyprowadza człowieka żyjącego ze skazą grzechu pierworodnego, a w dodatku w „kulturze pożądliwości” z niewoli tej pożądliwości – pisze Tomasz Rowiński w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Boża koncepcja. O «*Humanae vitae*»”.

Encyklikę *Humanae vitae* zwykle sprowadza się do zakazu antykoncepcji. Przeciwnicy dokumentu starają się podkreślić, że jest on głównie opinią Pawła VI, która była sprzeczna z opiniami wielu ekspertów, a także być może nawet większości katolików. Zapominają oni przy tym, że rolą Magisterium Kościoła jest także korygować pewne błędne mniemania nawet jeśli są one głosem większości. HV z pewnością należy do takich korygujących dokumentów. Kontynuuje ona także trwającą przez całe dzieje Kościoła tradycję mówiącą, że małżeństwo nie jest miejscem realizacji pożądliwości, ale lekarstwem na nią.

Dziś w powszechnej świadomości katolików istnienie tej tradycji jest bardzo słabe, ponieważ uważa się ją za negatywne ujęcie małżeństwa, tak jakby było ona jakiegoś rodzaju złem koniecznym. Tymczasem jest zupełnie inaczej.

Bł. Paweł VI pisze:

Etycznie poprawna regulacja poczęć tego najpierw od małżonków wymaga, aby w pełni uznawali i doceniali prawdziwe wartości życia rodziny, oraz by nauczyli się doskonale panować nad sobą i nad swymi popędami. Nie ulega żadnej wątpliwości, że rozumne i wolne kierowanie popędami wymaga ascezy, ażeby znaki miłości, właściwe dla życia małżeńskiego, zgodne były z etycznym porządkiem, co konieczne jest zwłaszcza dla zachowania okresowej wstrzeźliwości. Jednakże to opanowanie, w którym przejawia się czystość małżeńska, nie tylko nie przynosi szkody miłości małżeńskiej, lecz wyposaża ją w nowe ludzkie wartości. Wymaga ono wprawdzie stałego wysiłku, ale dzięki jego dobroczynnemu wpływowi małżonkowie rozwijają w sposób pełny swoją osobowość, wzbogacając się o wartości duchowe.

I jeszcze dalej Papież pisze:

Opanowanie to przynosi życiu rodzinnemu obfite owoce w postaci harmonii i pokoju oraz pomaga w przewyciężaniu innych jeszcze trudności, sprzyja trosce o współmałżonka i budzi dla niego szacunek, pomaga także małżonkom wyzbyć się egoizmu, sprzeciwiającego się prawdziwej miłości oraz wzmacnia w nich poczucie odpowiedzialności. A wreszcie dzięki opanowaniu siebie rodzice uzyskują głębszy i skuteczniejszy wpływ wychowawczy na potomstwo; wtedy dzieci i młodzież

dorastając właściwie oceniają prawdziwe, ludzkie wartości i spokojnie oraz prawidłowo rozwijają swoje duchowe i fizyczne siły. (HV, 21)

Widzimy zatem, że Paweł VI wskazuje na zdolność do panowania nad pożądliwością, jako na element właściwego rozwoju życia rodzinnego i małżeńskiego. Bliskość erotyczna zyskuje właściwe miejsce nie wtedy, gdy jest tylko lub głównie konsekwencją pociągu płciowego, ale wpisuje się w głębsze życie i jemu jest podporządkowana. To głębsze życie, to będzie choćby wierność obowiązkom stanu, ale też zachowanie czystego podejścia do bliskości małżeńskiej.

To być może zasadnicze fragmenty pozwalające zrozumieć przesłanie HV. „Leczenie pożądliwości” nie może oznaczać – jak pisał znakomity orędownik tej encykliki kard. Carlo Caffarra – „tolerancji dla czegoś, co samo w sobie jest grzeszne” (cyt. za: Augusto Sarmiento, *Małżeństwo chrześcijańskie*, Kraków 2002, s. 242). Oznacza to, że chrześcijańskie małżeństwa nie mogą „leczyć” żądzy przez jej pozbawione odpowiedzialności zaspokajanie. Taka jest obecnie „światowa” wizja małżeństwa. Jej „wypełnieniu” służy antykoncepcja, której stosowanie traktuje się często jako synonim odpowiedzialności. Tymczasem jest ona zabezpieczeniem przed konsekwencjami przyzwolenia na nieodpowiedzialność. W „światowej” wizji małżeństwa chodzi przede wszystkim o seksualność traktowaną instrumentalnie jako narzędzie stabilizowania emocji razem żyjących ludzi. Pożycie staje się czynnością higieniczną, ale też uzależnia od doświadczeń seksualnych.

Ten rodzaj myślenia i praktykowania dominuje także dziś wśród współczesnych katolików, co pokazują dane na temat stosunku katolików do etyki Kościoła. Dowartościowanie jednoczącego charakteru bliskości cielesnej małżonków w Kościele, skrzyżowane z rewolucją seksualną w świecie doprowadziło do przewartościowania samej seksualności w stronę oderwania jej od innych celów małżeństwa, czyli przede wszystkim płodności. Bliskość intymna nie powinna być dla małżonków regulatorem emocji, a co za tym idzie, stabilizatorem całego życia. Będzie to raczej droga do rozwiązłości i porzucenia osobistej suwerenności wynikającej z praktykowania cnót. Rozwiązywanie problemów i napięć z jakimi wiąże się życie świeckie, małżeńskie i rodzinne za pomocą zbliżeń płciowych będzie raczej ich kamuflowaniem rozpadu innych aspektów więzi. Fizyczny element miłości małżeńskiej, we właściwym sensie, musi być przeżywany w cnocie i do cnoty prowadzić, czyli stanowić właśnie zjednoczenie gotowe na przyjęcie potomstwa, a nie zaspokojeniem popędu, momentem odrzucenia norm.

Tymczasem bardzo często akcentowanie znaczenia bliskości intymnej małżonków („budowanie relacji”, „komunii”), jako pierwszego celu ich wspólnoty, prowadzi do poczucia, że to płodność przeszkadza w umacnianiu małżeństwa, ponieważ nakłada ograniczenia poprzez konsekwencje w postaci możliwego poczęcia. A wtedy jakaś forma antykoncepcji - czy to poprzez fizyczną ingerencję czy nadużywanie naturalnych metod planowania - zaczyna się jawić jako wyraz rozumnej współpracy człowieka z Bogiem.

Takie przekonanie jest jednak znakiem, że odeszliśmy już zupełnie od katolickiej i Bożej wizji małżeństwa, w której za odpowiedzialność nie uznaje się ograniczania skutków pożądania, ale leczenie pożądania przez oparcie codzienności przede wszystkim o więź sakramentalną, trwałą otwartość na przyjęcie prawdziwych owoców małżeństwa, czyli dzieci, ale też otwartość na sytuację dłuższej wstrzemięźliwości w razie potrzeby.

Różne dyskursy teologiczne, filozoficzne i psychologiczne mistycyzujące pożycie intymne w rzeczywistość łatwo je odcieleśniają i pozbawiają je właściwej mu duchowości, czyli ukierunkowania na potomstwo. Co więcej, mistycyzowanie pożycia jeszcze ułatwia wyrabianie nawyku niechęci do poczęcia, ponieważ sztucznie umiejscawia cel współżycia poza rzeczywistym celem naturalnym i nadprzyrodzonym. Współżycie jednoczy i duchowo formuje wtedy, gdy jest za każdym razem przyjmowane jako akt współtwórczy. Inaczej staje się poszukiwaniem doznań. Nie na tym polega w swojej zasadzie duchowość.

Czy to oznacza, że małżeństwo chrześcijańskie, o którym mówi Kościół, jest jakąś formą purytanizmu? Wydaje się, że nie ma podstaw by tak sądzić. Wrażenie to może wynikać z antynatalistycznych skłonności naszej epoki, a zatem i mentalnych skłonności większości z nas. Ponieważ z wielkim trudem wyobrażamy sobie mieć więcej niż dwójkę dzieci, to i małżeństwo chrześcijańskie wydaje nam się krzyżem zaniechania pożycia. Przeważnie chcielibyśmy mieć nieograniczony dostęp do satysfakcji seksualnej i zdecydowanie ograniczoną liczbę potomstwa, a zatem i ograniczony rachunek podejmowanego wysiłku

życiowego. Jednak w Kompendium Nauki Społecznej Kościoła, które niezbyt chętnie – bo zaledwie w dwóch punktach – odwołuje się do HV (a tylko raz cytuje), czytamy:

Nie można powoływać się na ciężar związany z dźwiganiem [...] odpowiedzialności dla usprawiedliwienia postaw egoistycznego zamknięcia (KNSK, 232).

Trzeba jeszcze dodać, że podejście do jedności płciowej w perspektywie łaski i cnót wyklucza właśnie mechaniczne traktowanie tych spraw, ponieważ cnota jest sprawnością „działającą” w różnych okolicznościach. Obiektywne okoliczności życiowe mogą skłaniać jedno małżeństwo do otwartości na przyjęcie dzieci oraz często praktykowanej bliskości – i można nawet powiedzieć, że będzie to dotyczyło większości małżeństw – inne z powodu choćby okoliczności zdrowotnych wejdą na drogę może i nawet całkowitej wstrzeźliwości. Dla obu będzie to okazja ćwiczenia się w otwartości na łaskę i w praktykowaniu cnót – u jednych poprzez trud wychowania dzieci, dla innych przez bezpośrednie umartwienie ciała.

Zresztą nie miejmy złudzeń – pożądlivość nie sprowadza się do spraw seksualnych, to dość współczesne i ograniczone spojrzenie.

Wychowanie dzieci, a szerzej życie rodzinne jest nieustannym umartwieniem rozmaitych pożądań, w których dogadzać sobie będą bezdziejni lub małodziejni. Dotyczy to ograniczeń finansowych, dysponowania czasem itd, jakie wynikają z opieki nad potomstwem. Widzimy zatem, że ucieczka od nauczania HV jest ucieczką w jakiś rodzaj chrześcijańskiego – jeśli nie hedonizmu – to epikureizmu.

Na koniec przytoczę dłuższy fragment eseju Piotra Kaznowskiego *(Re)medium concupiscentiae? Małżeństwo chrześcijańskie a pożądlivość* („Christianitas”, nr 60-61/2015), który będzie dobrym podsumowaniem tematu zapomnienia przez chrześcijan tradycyjnej nauki o małżeństwie:

[...] zapomnienie tradycyjnej nauki prowadzi bardzo szybko do jej przeciwieństwa. Oto małżeństwo zamiast być lekarstwem na pożądlivość, *remedium concupiscentiae*, w imię afirmacji miłości zamienia się zwyczajnie w *medium concupiscentiae* – środek wzmacniający pożądlivość. Sama siła oddziaływania publikacji zawierających nową naukę o małżeństwie jest pewnie niewielka w skali Kościoła, ale sądzę, że można je uznać za wymowny znak czasu i krystalizację niewypowiedzianych przekonań albo marzeń wielu osób wierzących. To, co określa się dziś mianem kryzysu małżeństwa i rodziny, jest bowiem głęboko zakorzenione nie tylko w pożądlivości natury zranionej przez grzech pierworodny, będącej przecież udziałem ludzi wszystkich czasów, ale również w „pożądlivości kultury”, a więc w mitach, opowieściach i języku, a nawet w samej strukturze politycznej i społecznej, które kształtują wyobrażenia o miłości, o sposobach bycia, a nawet definiują cele życia i rozumienie powołania chrześcijańskiego. Nawet jeśli odnosimy wrażenie, że chrześcijanie są dziś jak „dzieci, którymi miotają fale i porusza każdy powiew nauki, na skutek oszustwa ze strony ludzi i przebiegłości w sprowadzaniu na manowce fałszu” (Ef 4,14), to nie wystarczy zatrzymać się z satysfakcją na wytknięciu błędów. Byłoby to tylko uleganie pożądlivości, która chce nakłonić nas do skupiania się tylko na przeszkodzie i do podsycania skandalu. Zresztą zaobserwować

można całkiem ściśle korelację, że tam, gdzie panuje duża ochota do oburzania się na Kościół i wstydzania się przed światem, tam też objawia się największy resentyment wobec świata i najmniej chrześcijańskiej samodzielności w myśleniu. Święty Paweł mówi natomiast, że „niezbędne są dla ciała te członki, które uchodzą za słabsze; a te, które uważamy za mało godne szacunku, tym większym obdarzamy poszanowaniem” (1 Kor 12,22n).

Wniosek zupełnie końcowy jest prosty: HV nie sprowadza się jedynie do prostego i, jak wielu się zdaje, irracjonalnego zakazu antykoncepcji, ale wyprowadza człowieka żyjącego ze skazą grzechu pierworodnego, a w dodatku w kulturze pożądliwości z niewoli tej pożądliwości. Trudna to mowa, bez wątpienia, ale jednak własna mowa chrześcijaństwa, ba, najgłębiej mądrościowa i filozoficzna, wszak filozofia to sposób życia, który ma prowadzić do doskonałości. A chrześcijaństwo to przecież filozofia prawdziwa.